

## Na brzegach Jarynia. Powieść demonologiczna (fragment)

### Z rosyjskiego przełożyła Halyna Dubyk

Każdego roku, w dniu Agrafeny<sup>1</sup>, Leszy (przezywany również Zielonym Kozłem ze względu na kolor i kształt brody), wszelkimi możliwymi sposobami starał się pozyskać względy swej Leszowej i uspić jej czujność. Zawsze była bardzo zazdrosna z powodu wybryków szanownego małżonka w dniu Kupały, kiedy to napadał wiejskie baby i dziewczęta zbierające magiczne zioła i lecznicze trawy.

Zielony Kozioł już niejednokrotnie musiał się tłumaczyć z tego i owego. Leszowa sama dobrze wiedziała, że jest paskudna i zazdrość jej miała solidne podstawy.

Ze względu na „ozdóbki” pstrzące jej ciemną twarz, wśród mieszkańców leśnych chaszczy utarło się przezwisko „Brodawka”. Szorstkie, przypominające końską grzywę i nigdy nieczesane włosy stały się upačkane smotą i poprzątkane mchem i igliwem. Szare, długie, cienkie piersi zwisały i dyndały jak u psa. Miejscami skołtuniona, wilgotną trawą pachnąca brudna sierść także nie dodawała jej powabu, a już podły i kłótlivy charakter ostatecznie odpychał od Brodawki wszystkich obywateli lasu, tącznie z jej małżonkiem, który, prawdę powiedziawszy, nawet się jej bał. Jeden tylko niedźwiedź korzystał ze względów Leszowej. Między innymi dlatego, że towarzyszył jej mężowi, gdzie się tylko dało, a później meldował Brodawce o wszystkich postępach i występkach Leszego.

Złe jęzory mełły zresztą, że niedźwiedź ten pociesza Leszową, gdy szczególnie tęskni i martwi się z powodu zbyt długiej nieobecności męża.

Zrobiony z chrustu i korzonków bartóg Leszych był nieco wkopany w ziemię, od fasady wysmarowany gliną, a od wewnątrz wymoszczony suchym mchem, pierzem i trawą, lecz Brodawka z rzadka tylko zmieniała ściółkę i mało dbała o ochładstwo. Tłumacząc się duchotą i ciężkim powietrzem w bartogu, Zielony Kozioł latem zazwyczaj tam nie nocował.

Leszątek nie mieli, z czego Brodawka zresztą cieszyła się, zwalając całą winę na małżonka. A ten wolał spędzać czas poza domem, grając w świetle księżycy na dnie wąwozu stanowiącego granicę jego włości w kości z sąsiedzkim Leszym, dużym drabem, który bardzo był dumny ze swej gęstej i rudej brody. Zresztą, rzucali wcale nie kości, a oszlifowane przez wodę kamyki, całe upstrzone czarnymi plamkami. Grali niezwykle

<sup>1</sup> Dzień Agrafeny Kupałnicy – słowiańskie święto ludowe obchodzone w dniu 23 czerwca (6 lipca według nowego stylu), związane z przygotowaniem do Nocy Kupały. Po przyjęciu chrześcijaństwa w tym dniu odchodzono pamięć św. Agrypiny, nazywanej przez ludność prawosławną Agrafeną. Przypis tłumacza.

hazardowo, przegrywając całe stada zajęcy, lisów, wiewiórek, a nawet myszy, przepędzanych później z jednego obszaru lasu w inny. Od pechowca do szczęśliwca.

W wigilię Agrafeny Kupaty Zielony Kozioł zupełnie zapomniał o grze, myśląc jedynie o tym, jak by tu uspić czujność małżonki i niezauważalnie czmychnąć w bór, w którym nieopodal rzeki znajdowała się Krągła Polana obficie porośnięta paprocią. To właśnie tam miał przyprowadzić do Leszego którąś rusałkę Ankundynicz, niegdysiejszy dozorca podwodnych piękności Jarynia. Chociaż czarnobrody topielec zawiódł zaufanie Leszego, rusałek mu latoś nie przyprowadził, za co poniósł srogą karę i został na wiosnę rozdeptany przez Zielonego Kozła, nadzieja na to, że uda mu się na Krągłej Polanie ujrzeć podwodne panny, nie opuszczała Władcy Lasu. Z jakiegoś powodu właśnie tam czatował na nie tej nocy.

Zrealizować swój plan – wyhulać się jak należy w noc Kupaty czy też Jaryty, czyli pouganiać się za rusałkami – mechatemu gospodarzowi wcale nie było łatwo. Bury Niedźwiedź najwyraźniej otrzymał ścisły rozkaz Leszowej, aby nie odstępować na krok jej małżonka i gdzie by się Zielony Kozioł nie ruszył, wszędzie dostrzegał czujnym okiem ostrożnie kluczącego i wchającego ziemię niedźwiedzia, który krył się wśród konarów i krzaków. Jednak Leszy nie na marne pamiętał najdawniejsze czasy i wchłonął w siebie całą mądrość lasu. Ostatecznie wymyślił, jak można oszukać zwierza drepczącego mu po piętach.

W starej rozłożystej lipie, znajdującej się w oddalonej od rzeki części lasu, od dawna roily się w wielkiej obfitości pszczoły. Właśnie do nich skierował swe kroki przed zmierzchem Zielony Kozioł. Kiedy podszedł do drzewa, czubata głowa nagle urosła do poziomu najwyższej dziupli wokół której krążyły w monotonnym szmerze miodonośne owady. Wydłużony tym sposobem Leszy zaczął cichutko ostrzegać pszczoły przed niedźwiedziem, krąjącym nieopodal.

Wysłuchawszy meldunku, bezmyślnie odważne pszczoły zamiast przyciąć się i zamilknąć, wszczęły niestychany hałas bojowy, który natychmiast doleciał mechatych i czujnych uszu Burego Misia. Pokusa zakosztowania miodu była zbyt wielka, aby miał minąć drzewo, nie szukając szczęścia w dziupli. Wbijając w pomarszczoną korę starej lipy mocne, czarne pazury, niedźwiedź szybko i sprawnie dostał się do dolnej dziupli, broniąc się zarazem przed wściekle żądłocymi go pszczołami. Dziupla wprawdzie bez problemu mieściła niedźwiedzią łapę, ale nie pozwalała dostać się do miodu znajdującego się znacznie wyżej. Niedźwiedź wspinał się dalej. Następna dziupla była zbyt wąska i aby dostać się do niej, należało poszerzyć właz. Żądłony niemiłosiernie przez pszczoły, plączące się w jego długiej sierści, fukając i opędzając się, miś zabrał się do roboty. Dźwięczny, waleczny szmer otaczał go z każdej strony.

A Zielony Kozioł był już w tym czasie hen daleko.

Przesadził strumyk, wyptywa z leśnego błota w kierunku rzeki, szybkim krokiem bujał się w rytmie powiewu drzew, sam wysoki jak najwyższe z nich. To tu, to tam pokazywała się jego czubata głowa ze sterczącymi dęba włosami, przypominającymi mech. Bezszelestnie przestępował nad młodniakiem ogromnymi jak świerkowe kłody nogami.

Płochliwy zajęc, kryjący się w krzakach, ujrawszy Leszego, stanął jak zwykle na baczność. Ale Zielony Koziół przeszedł nad nim, nie zauważając czynionych mu honorów. Śpieszył na Krągłą Polanę.

(...)

W dniu Agrafeny Brodawka była spokojna pod wieczór. Mąż wróci z leśnego obchodu w asyście niedźwiedzia, a Bury miał rozkaz, aby wszędzie chadzać za gospodarzem, zaś gdyby go pędził – miał nie odstępować go z ukrycia.

Ściemniało się już, kiedy siedząca na zwalonym obok bartłogu drzewie Leszowa rozmarzyła się, jak w sumie miło by było, gdyby dookoła pałętało się teraz stado mechatych i rączych dzieci. Nagle usłyszała w oddali czyjeś niepewne i nieśmiałe kroki. Nadstawiła swych zwierzęcych uszu. Ktoś wyraźnie kluczył w pewnej odległości od jej bartłogu, jakby bał się podejść bliżej.

„Czyżby rudobrody sąsiad zwęszył, że mojego nie ma w domu i zwałił w odwiedziny? No i co teraz? Raz zaprosisz, potem się nie odczepi. To nie niedźwiedź, który gadać nie umie... Zacznie się przechwalać... Znam go. Jak coś – wszystko wypapla całej okolicy... No, ale zobaczyć trzeba...”

– Hej, jest tam kto? – potężnie i groźnie ryknęła Leszowa. Wyłazić!

W odpowiedzi cicho chrupnął chrust i przed Brodawką stanął niedźwiedź ze spojrzeniem winowajcy i mordą spuchniętą niemożebnie od pszczelich ukąszeń.

A Leszy gdzie? – groźnie zapytała swego ulubieńca gospodyni.

Niedźwiedź jedynie westchnął i jeszcze niżej opuścił głowę.

Ale w westchnieniu tym czujny nos Leszowej zwęszył ledwo uchwytny zapach miodu. Uważnie przyjrawszy się Misiowi, Brodawka pojęta w czym rzecz.

– Chuchnij – zażądała mechata piękność głosem prawie syczącym od tłamszonej złości.

Niedźwiedź uniósł spuchnięty nos i pełnymi żalu oraz winy ciemnymi oczkami spojrzął na Leszową, chuchając swoim zwykłym gorącym, smrodliwym oddechem, w którym jednak wyraźnie przewijały się miodowe nuty.

– A to co? A to? – pytała się Brodawka, wyjmując pupilowi z kudłatej mordy zaplątane i uśmiercone pszczoły.

– Daruj – wydawał się mówić całym sobą sapiący winowajca.

Ale mocne ręce żelazną obręczą zacisnęły się już wokół szyi nieszczęśnika. Dobrze wiedząc, że z tych objęć nie można się wymknąć, Misiak padł na kolana do stóp Leszowej, które przez swoje przedwieczne utyłanie przypominały korę olchową.

Kiedy Leśnej Pani nieco ulżyło i uszedł z niej pierwszy żal, zelżyła uścisk na szyi Misia.

– No to gdzie on teraz? – padło wówczas pytanie.

I Misiak ponownie z miną winowajcy opuścił niziutko głowę, z czego zdradzona dama mogła wynioskować, że jej małżonek zdołał zwiać przed mechatym obserwatorem.

W głowie rozgniewanej Leszowej dojrzała błyskawiczna idea.

– Idziemy na bagna – rozkazała ostrym, nieznośnym sprzeciwu głosem.

Rzuciła się w drogę z taką energią, że Bury Miś musiał niekiedy przechodzić w galop, aby dogonić swoją panią, fikającą pomiędzy krzakami.

Czym bliżej bagna, tym ziemia była coraz bardziej wilgotna, a sosny coraz niższe, zresztą wkrótce całkowicie zniknęły, ustępując miejsca wierzbom i olchom. Zaczęły pojawiać się kępy, a spod nóg sikała rdzawa ciecz, zraszając sierść śpiesznych wędrowców.

Leszowa omiotła zazdrosnym spojrzeniem przylegający do ich włości odcinek bagna. Małzonka nie było w żadnym ustronnym miejscu, które nadawałoby się do jakichś niecności. Z błotnych przestrzeni, których nie mógł pokonać suchą stopą nawet Miś, dolatywały śmiechy i śpiewy Bagiennic w asyście rechotu i okłasków Biesów.

„A co, jeśli mój warchoł zakradł się tu z drugiej strony i stąd teraz gapi się na te nagie bezwstydnice?” – pomyślała gorączkowo zazdrosna Leszowa i natychmiast popędziła na prawo, okrążając błoto, w którym zbiegały się granice włości trzech leśnych gospodarzy.

Wprawiając w ruch wierzchołki krzaków i wysokich bagiennych badyli, pędziła ile sił, rozglądając się zarazem i każąc przyglądać się bacznie Misiowi.

Z czasem jednak Leszowa zrozumiała, że małzonka będzie mogła znaleźć tylko wtedy, gdy z większą pilnością przeszuka okoliczne trzciny.

Zwolniła kroku, łapiąc w paskudne, rozdęte nozdrza wszystkie zapachy lasu, węsząc co chwila jak lis okoliczną trawę, z mniejszym impetem zaczęła mijać okoliczne zarośla, kępy i pnie, które w jej mniemaniu mogły ukrywać przycupniętego Leszego, czyhającego na Bagiennice.

Brodawka była już po drugiej stronie porośniętego rzęsą jeziorka, w obcej i nieznannej części lasu. Wrzaski i śmiechy dolatujące z błota były coraz głośniejsze i bardziej wyraziste. Niedźwiedź jako zwiadowca niepewnie truchtał z przodu. Zatrzymał się nagle i z pół obrotu obejrzał się najpierw na panią, potem na krzaki, klinem wbijające się w błoto. Niewątpliwie, było tam coś, na co należało zwrócić uwagę. Niedźwiedź uniósł niepewnie przednią łapę i trwał w bezruchu. Leszowa zaczęła zbliżać się do krzaków. Serce jej mocno waliło, cała zresztą zamieniła się w słuch i w spojrzenie.

Po jakichś trzydziestu krokach Brodawka niespodziewanie zastygła w bezruchu, nie chcąc zdradzić swojej obecności choćby oddechem. Gdzieś w pobliżu ktoś przeciągle oddychał, lekko posapując przez nos. Sokolim wzrokiem dostrzegła wreszcie Leszowa wyciągnięte pomiędzy kępami długie, mechate ciało z nieco uniesioną, rogatą głową... Bez wątpienia, był to Zielony Koziół. Zapomniawszy o małżeńskich obowiązkach, karygodnie spędzał czas na podglądaniu lubieżnych Bagiennic...

Nieprzytomna z wściekłości, tryskająca przemożnym pragnieniem zemsty, poniżona małzonka jednym potężnym susem wskoczyła na włochate plecy Leszego i pierwsze, co zrobiła – wetknęła jego pysk w rzadką, błotną maź. Znalazłszy się pod ciężarem rozżalonej żony, Zielony Koziół podjął próbę uniesienia się i po chwili stanął na czworakach, zdoławszy (nie bez trudu), wynurzyć z błota utyłtaną głowę. Dopiero wtedy Brodawka zauważyła, że rogi na tej głowie są jakby inne niż u jej prawowiernego, a kiedy już przeciwnik obrócił swoją ubrudzoną rzęsą i brudem twarz, która dyszała wściekłością

i strachem, zrozumiała, że popełniła błąd i zaatakowała niewłaściwą osobę. Twarz przypominała mordę nie kozła, jak u jej męża, ale bardziej barana, a broda była wcale nie szaro-zielona, a czarno-bura, poprzątykana siwizną...

Z wrzaskiem wstydu i rozżalenia wypuściła Leszowa z rąk szyję i rogi ryczącego i zgrzytającego pod nią zębami nieznanego i w te pędy rzuciła się do ucieczki. Niedźwiedź też wreszcie zrozumiał, o co chodzi i dołączył do swej pani, skacząc przed nią, jakby pokazywał drogę. Z rykiem informującym o obrazie i chęci zemsty pędził za nimi brudny, straszny i wściekły Leśny Pan. Od jego wrzasku opadało igliwie z sosen, a brzozy i olchy drżały nie gorzej niż osiki.

Tempo zarówno tych, którzy salwowali się ucieczką, jak i tego, który ich ścigał, było bardzo wyrównane. Choć pościg trwał już dłuższą chwilę, odległość pomiędzy nimi była prawie taka sama. Minęli włości Baraniej Mordy (tak wołali na czarnoburobrodego, którego obraziła Leszowa) i pędzili teraz przez las należący do Rudobrodego, najbliższego sąsiada męża Brodawki. Ten akurat robił swój zwykły obchód w okolicach Czarnego Wąwozu. Ratujący się przed prześladowcą, Leszowa i Niedźwiedź dobiegli wreszcie do zarośli leszczyny, która porastała brzegi tego wąwozu i tam się rozdzielili. Typowo kobieca przebiegłość kazała Brodawce przycupnąć w pobliżu, a Barania Morda pędził dalej za Misiem, który tratował krzaki i uciekał co tchu. Niedźwiedź przemknął obok Rudobrodego, który czekał zdumiony, z potężnym kijem w ręku, natomiast zaafierowany pościgiem prześladowca wpadł z impetem w ręce rudego gospodarza, prawie przewracając go. Rudobrody aż stęknął z niesmaku, upewniwszy się, że to sąsiad łamie wszelkie zasady-obyczaję i poluje tu, jakby był u siebie.

– Stój – gniewnie wyrzytał, wymachując ze świstem kijem tuż nad głową nieproszonego gościa. Dlaczego łapięz moje niedźwiedzie?! Przegrałeś pewnie komuś, a teraz z cudzego lasu chcesz zapłatę?

– Bardzo mi potrzebna twoja zwierzyna! Za żonę twoją leciałem – usłyszał w odpowiedzi.

– Za żonę?! Nigdy w życiu nie byłem żonaty z niedźwiedzicą! Dostyc łgarstwa. Precz z mojego lasu!

– A patrz no, jak jeszcze broni tej wycieruchy! – wyrzytał Barania Morda i, wyrwawszy z korzeniami dość sporą jarzębinę, potrząsnął nią nad głową Rudobrodego, prosząc po oczach ziemią.

Ruda Broda zaryczał z wściekłości i rzucił się na przeciwnika. Kij uderzył o jarzębinę, zaś jedno i drugie – o głowy i plecy rozjuszonych Leszych. W międzyczasie Barania Morda łązył żonę Rudobrodego, a ten ostatni wyzywał intruza od kłamców i złodziei. Kiedy narzędzia walki uległy zniszczeniu, leśni panowie złapali się za bary i zapamiętali turlali się po ziemi, głośno rycząc i boleśnie gryząc się nawzajem.

Leszowa zaś tymczasem dobiegała już do pustego domostwa. Zielonego Kozła tam najwyraźniej jeszcze nie było. Nieco zmęczony długotrwałą bieżącą, leżał nieopodal pańskiego bartogu z wywalonym jęzorem niedźwiedź i rozczulającym spojrzeniem małych oczu gapił się na Brodawkę.

Ta jednak nie uznała za stosowne docenić wierności i oddania Burego Misia. Po chwili przyszła do siebie po niedawnym zażenowaniu i postanowiła całą złość wyładować na pierwotnym winowajcy i sprawcy wszystkich doznanych przez nią zmartwień, strachu i upokarzającej, szalonej ucieczki. Zapłacić za wszystko winien był tylko i wyłącznie Zielony Kozioł.

– Misiek, idziemy! – zawołała Leszowa, wstając z ziemi po krótkim odpoczynku. – Jeśli nie na bagnach, to gdzieś koło rzeki znajdziemy łajdaka. Dowie się raz na zawsze, jak się kończy porzucenie wiernych i oddanych żon!

Bez specjalnego, zresztą, entuzjazmu niedźwiedź również się podniósł i posłusznie ruszył za swoją panią w poszukiwaniu pana, który najwyraźniej zabalował.

Po wejściu do lasu poszli najpierw w kierunku Krągłej Polany, na którą od zarania dziejów schodziły się w noc Kupały ruszałki i drzewiennice, o czym doskonale wiedziała Leszowa. Już z daleka poszukiwacze słyszeli nadciągające stamtąd przeciągłe krzyki puchacza w akompaniamencie ni to szmeru skrzydeł, ni to klaskania ruszałek. Chcąc jak najdokładniej wysledzić męża, Brodawka kazała niedźwiedziowi podejść do polany z jednej strony, a sama zaczęła skradać się z drugiej. Rozeszli się.

Bury Miś natknął się przy samym wejściu na polanę na młodą wiejską wiedźmę Aniskę, która czekała na kwitnienie paproci, siedząc w kukki w magicznym kręgu, zakreślonym nożem. Nie bardzo wiedząc, czy obejść, czy stratować stworzenie ludzkie, które w taką noc raczej nie w zbożnym celu wybrało się do lasu, niedźwiedź niepewnie zwołnął kroku...

Aniska zaś akurat przemyślała, że najwyższy czas zbierać się do domu, kiedy tuż obok usłyszała szmer.

Młoda wiedźma spojrzała w tę stronę i omal nie umarła ze strachu.

W odległości jakich pięciu-sześciu kroków zobaczyła burego niedźwiedzia, który wlepił w nią spojrzenie swoich małych czarnych oczu. Stał nieruchomo i warczał.

Gdyby to była siła nieczysta, Aniska nie martwiłaby się. Zakreślony krąg, ostrze noża (tak nieubianego przez wszelkie nocne nieżyjotka) i tuzin zaklęć miały ją uchronić przed wszelkimi strachami i widmami. Ale niedźwiedź... To już całkiem inny problem. Zakreślonej granicy po prostu nie zauważy, nóż – zbyt niepoważna broń, a zaklęcia na niedźwiedzia akurat wyleciały Anisce z głowy.

Misiek natomiast dalej warczał. Skrócił dystans o kolejne dwa kroki. Jeszcze chwila i startuje wiedźmę.

Nagle do głowy Anisce przyszła genialna myśl – uciec się do pradawnego babskiego sposobu na misie napotkane w lesie, sposobu, który godził we wstydlivość aspołecznego zwierzęcia. Wiedźma natychmiast zadziałała. Zobaczył wtedy niedźwiedź bielony księżycem brzuch wyprostowanej kobiety i zaczął się wycofywać, aż wreszcie z wrażenia usiadł w odległości kilku kroków od Aniski... Słychać było tylko jak szeleści gdzieś nieopodal trawa i kłapią zęby wystraszonej kobiety.

Nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby od strony rzeki nie doleciał w tym czasie przenikliwy krzyk, przechodzący następnie w rozpaczliwe wrzaski. Praktycznie w tej samej chwili krzyknęła na cały głos Leszowa gdzieś tuż obok Aniski:

– A tu ci on, nicpoń przeklęty! Misiek, do mnie! Czego się tam uwalifeś?! Biegniem! Podporządkowując się temu gniewnemu, zachrypniętemu, nieludzkiemu głosowi, Bury Miś skoczył na cztery łapy i pobiegł na zew swojej pani...

Aniska była uratowana.

Usłyszawszy z daleka tęskne zawrodo rusatek, przerywane niekiedy dzwicznym, srebrzystym śmiechem i oklaskami, Zielony Kozioł bardzo się ucieszył. Wyobraził sobie, że skrada się do na wpoł przezroczystego korowodu, wybiera zza krzaków tę, która wydoje mu się najmniej powietrzną, potem wyskakuje na polanę, obłapia swoją zdobycz i zaciąga do lasu. Myśl o tym na tyle zawładnęła Leszym, że nie był w stanie powstrzymać radosnego śmiechu. A panowanie nad własnym śmiechem nigdy mu specjalnie nie wychodziło, więc jak już raz zarechotał, tak potem długo nie mógł przestać.

Czułny rusatki usłyszały ten śmiech, a potem i śpieszne kroki, odgrywane na chruście, zaprzestały śpiewów i natychmiast rzuciły się do ucieczki.

Zielony Kozioł starał się je pojmać, ale wodne panny były bardziej zwinne. Jedna za drugą uciekały z lasu, szybko pędziły w stronę rzeki i chowały się tam w przybrzeżnych krzakach...

Po poniesionej klęsce Leszy dość długo błądził w ciemnym lesie, karmiony płonącą nadzieją, że usłyszy gdzieś po raz kolejny wabiący śpiew rusatek. Tak się połętał, nie zwracając uwagi na śmichy-chichy drzewiennic, ukrytych pomiędzy liśćmi drzew. Nie miał do nich głowy. Dość długo snuł się po różnych polanach i ścieżkach, aż znów stanął na skraju lasu. Stąd widział teraz doskonale siedzące na brzegu wodne piękności, które sortowały uzbierane na leśnych polanach kwiecie. Pomarańczowo-czerwony księżyc już zachodził. Robiło się ciemniej, a Leszy wymiarkował, że przy odpowiednim sprycie zdola zbliżyć się do rusatek, chwycić jedną i zabrać ją na wilgotny mech do ciemnego lasu, szeleszczącego oddechem nocnego wiatru.

Powoli zbliżając się do rzeki, Zielony Kozioł stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż sięgnął poziomu traw, porastających brzegi Jarynia. Wiadomo, przecież, że Leszy nie może być wyższy od najwyższego okolicznego drzewa, krzaku, czy innych ziemskich bylin...

Brnąc przez oroszone trawy, Zielony Kozioł ostrożnie i prawie bezdźwięcznie zbliżał się do wodnych panien.

Te beztrosko gawędziły o tym, dokąd przyjdzie im trafić, gdy dla każdej z nich zakończy się czas bycia rusatkami: czy będą się poznawać przy spotkaniu i czy długo jeszcze będą musiały pozostawać pod władaniem obrzydłego, tysego i brzuchatego Wodnika.

Nie podejrzewały, że sam Wodnik przycupnął w trzcinie przy samym brzegu i podsluchiwał ich rozmowę, notując w pamięci, którą z nieostrożnych piękności należy przy okazji ukarać za pogardliwe wypowiedzi na temat jego powierzchowności... Nagle rusatki zerwały się na równe nogi, zawrzeszczały – jedno z udawanego, drugie – ze szczerego przestachu i jak stado owiec rzuciły się do wody. Za nimi rosta do poziomu najwyższej przybrzeżnej trzciny postać Zielonego Kozła, usiłującego schwytać którąś z uciekiniererek. W końcu złapał jedną za rozwiany mokry warkocz, nie zauważając, że podczas

błyskawicznego pościgu wlaźł prawie po kolana do wody... W tej samej chwili wynurzył się z oddechu tłusty Wodnik i z całej siły szarpnął Leszego za lewą nogę. Ten nie ustał; wypuścił z ręki rusalkę i usiłował złapać się długimi rękoma za przybrzeżne wierzy. Wodnik, ze złony wtargnięciem odwiecznego wroga do jego królestwa, z całej siły starał się wciągnąć intruza na głębię, wołając jednocześnie na pomoc Pietrę Świńskiego Blondyna...

Spuchnięta twarz topielca wynurzyła się z wody. Ołowiane oczy oceniły sytuację i po chwili dozorca ruszał śmiało chwycił za prawą nogę Zielonego Kozła.

Leszy czuł, że najwyraźniej nie uda mu się ustać na brzegu, że tłusty wróg za chwilę wciągnie go do swojej rzeki i ze strachu zawrzęszczał ile sił, wzywając na pomoc obmierzłego mu niegdyś misia.

– Misiek!... Misiek! – krzyczał dzikim i potężnym głosem, który właśnie do niedźwiedziego ryku był podobny. Obudzone nagle kaczkę zerwały z komyszy, zatrzępotały skrzydłami, trwożnie zakwakały i poszybowały w niebo, świdrując nocne ciemności. W oddali nawoływały się kuliki... Ale niedźwiedzia ani słycho, ani widu.

Zielony Kozioł znów zawrzęszczał. Opuszczały go siły. Mimo rozpaczliwych wysiłków, przeciwnicy zyskiwali przewagę. Leszy był już powyżej pasa zanurzony w wodzie, kiedy niespodziewanie z odsieczą przyszła Brodawka. Dopadła walczących jak huragan, a za nią przytruchtał również kosmaty towarzysz. Żona w milczeniu błyskawicznie wbiła pazury w twarz Wodnika i władca dna natychmiast wypuścił z rąk nogę jej męża, zaś niedźwiedź nie zdążył nawet uderzyć, gdy Świński Blondyn zanurkował w wodzie, gdzie już wcześniej ukrył się jego pan.

Tylko pojedyncze bąbelki ukazały się w tym miejscu rzeki... Speszony i mokry Zielony Kozioł wypętlął na brzeg i stanął na potężnych, choć drżących nogach.

W miejscu niedawnych walk rozchodziły się tylko po wodzie kręgi i malutkie fale cicho chlupały o błotnisty brzeg... W oddali ponownie odezwały się kuliki i znów nastąpiła głęboka cisza.

– Idziemy, nicponiu – wydała mężowi srogą komendę Brodawka i poprowadziła go precz od Jarynia.

Zielony Kozioł smutno westchnął i poszedł za żoną z miną winowajcy.

Niedźwiedź zamykał ten pochód.